

IMIE
WROGA

MIROSŁAWA
KARETA

IMIE
WROGA

WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2019
© Mirosława Kareta-Gala, 2019

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz
Redakcja: Anna Śledzikowska
Korekta: Katarzyna Onderka, Anna Warzecha
Projekt okładki: Dominik Wicher
Zdjęcia na okładce: Narodowe Archiwum Cyfrowe (Zamek Królewski na Wawelu – widok od strony placu Bernardyńskiego); © CollaborationJS/ Arcangel Images
Skład: Lucyna Sterczewska

Postaci i wydarzenia opisane w książce są fikcyjne.
Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób
lub zdarzeń jest przypadkowe lub niezamierzone.

ISBN 978-83-277-2246-1

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa: SKLENIARZ • Kraków
Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

~ I ~

Kraków, środa, 28 października 1942

To nie była zwykła noc. Jeszcze z wieczora rozeszła się pogłoska o kolejnym wysiedleniu. Przed dziewiątą stała się faktem – Niemcy otoczyli dzielnicę. Po doświadczeniach z początku czerwca Żydzi nie mieli już złudzeń, co to oznacza.

Nikt prócz najmłodszych dzieci nie spał tej nocy. Po ścieżkach wydeptanych w ciasnych zaułkach oraz podwórkach, przez labirynt starej zabudowy, tajne korytarze wykute w piwnicach i na strychach, niosły się odgłosy szybkich kroków i gorączkowe szepty. Powtarzano plotkę, że hitlerowski dygnitarz zmusił cadyka do pobłogosławienia akcji. Że do każdego, kto się pojawi na odkrytej ulicy, strzelają snajperzy. Że odemani¹ już przystąpili do działania, wyciągając z wyznaczonych mieszkań konkretne osoby.

Sierocińca i bursy nikt na razie nie niepokoił. Po północy, gdy mrok zgęstniał, a powieki strażników po drugiej stronie muru stały się ciężkie ze znużenia, wychowawcy zakończyli naradę i weszli do sypialni najstarszych podopiecznych. Wypuszczali ich ukradkiem, po kilku. Chłopcy niepostrzeżenie znikali w ciemności.

¹ OD, Ordnungsdienst (niem.) – żydowska milicja pomocnicza utworzona w gettach.



Julek, Baruch i Szlomo wymknęli się frontowymi drzwiami. To była najbardziej niebezpieczna droga ucieczki. Tuż obok, w dawnej siedzibie Domu Sierot, rozlokowała się teraz żydowska milicja. Na szczęście mrok był nieprzenikniony, a oni znali tu każdą dziurę i każde pęknięcie w chodniku. Minęli dom OD i przekradli się w stronę zieleńca z figurą Matki Boskiej. Biegły tędy zasieki, za którymi czuwały niemieckie straże. Ale przyjaciele nie potrzebowali słów, by się porozumieć. Pojedynczo, jak cienie, przemykali na tyły narożnej kamienicy przy Limanowskiego.

Od kiedy w czerwcu znacznie okrojono dzielnicę, funkcję głównej bramy budynku pełniło wejście od podwórka. Na drugim piętrze, w pokoju z zamurowanymi oknami², mieszkał towarzysz, z którym Baruch chodził do szopu³. Nie miał złudzeń, co czeka Żydów już w najbliższym czasie. Młodzi i silni, pracujący, będą mieli szansę na przeżycie. Dla słabych i beзуytecznych nie widział nadziei.

– Następnii będziecie wy – powiedział Baruchowi szczerze i bezlitośnie.

Pewnie by go posądzali o bezduszość, gdyby nie to, że sam miał żonę i rocznego synka. Zdecydowali się go posłuchać i razem przygotowali kryjówkę. Strych, zagracony ponad miarę meblami, których nie pomieściły ciasne, przeludnione mieszkania, doskonale się do tego celu nadawał.

2 Wszystkie okna w getcie, które wychodziły na „aryjską stronę”, zamurowywano.

3 Szop – zakład pracy dla robotników żydowskich na terenie getta.

Stare schody prowadziły ich teraz wysoko, pod same krokwie. Drzwi ustąpiły bez skrzypienia. Wsunęli się za osłonę z nieheblowanych desek i zamarli, ściśnięci jak sardynki w puszcze. Specjalnie wywiercone otwory umożliwiały oddychanie i obserwację tego, co się działo na dole. Widzieli pojawiające się bezszelestnie kolejne postacie. Ginęły w zakamarkach, rozplywały się w mroku.



Henek i Aron wybrali drogę przez podwórko. Ruszyli biegiem, choć było ciemno, że oko wykol. Dlatego dostrzegli go dopiero, gdy prawie na niego wpadli. Stał ukryty za drewnianą komórką, która w dawnych czasach mogła być kurnikiem. U pasa miał pałkę, w ręku pejcz, na ramieniu opaskę z gwiazdą Dawida. Przypadek czy specjalnie tu czekał? Zmartwiali ze strachu wpatrywali się w jego nieruchomą twarz, w której błyszcząły tylko oczy. Wyda ich? Zaaresztuje? To oznaczało wyrok – podczas wysiedlenia wywożono też wszystkich więźniów.

„Nie wierzę, że to się tak skończy! – pomyślał Henek, zaciskając powieki. – To nie może być prawda!”

Nagle poczuł łupnięcie pięścią pod żebra. Otworzył oczy – podwórko było puste. Za jego plecami z cichym stuknięciem domknęły się drzwi. Odeman zostawił ich i odszedł bez jednego słowa.

– Trzeba ostrzec pozostałych! – szepnął ochryple chłopiec. Gardło miał ściśnięte ze strachu.

– Zwariowałaś?! – syknął Aron. – Życie ci niemiłe?

Rzucili się przed siebie, nie dbając o to, czy ich kto usłyszy. Wiedzieli, że za zaciemnionymi oknami setki uszu nasłuchują odgłosów nocy, setki serc kołaczą z przerażenia, że zaraz na schodach rozlegnie się stukot podkutych butów. W kompletnej ciemności, kierując się pamięcią, pokonywali ścieżkę wydeptaną setkami stóp. Przebiegli kilka podworców i korytarzy, wreszcie na którejś klatce schodowej odważyli się zatrzymać. Przycupnęli koło drzwi do piwnicy, dysząc ciężko.

– Oni sobie poradzą. A nam drugi raz się już nie uda – wyszeptał Aron, gdy złapał oddech.

Henek chciał coś odpowiedzieć, ale szczękał zębami ze zdenerwowania i nie mógł wydobyć z siebie słowa. W milczeniu oczekiwali świtu.



– *Kommt mit!*⁴

Nie wiedział, czy go rozumieją, ale było mu wszystko jedno. Nic go z nimi nie łączyło, wychowawcy ustawili ich po prostu razem i w stosownej chwili wypuścili na zewnątrz. Gdy się znaleźli przed domem, każdy był już zdany tylko na siebie. Tamci dwaj, choć zdecydowali się na ucieczkę, chyba zupełnie nie wiedzieli, co dalej począć. Nagle poczuł się odpowiedzialny, nie mógł ich tak zostawić. Jeszcze raz przywołał ich gestem.

– *Na kommt! Ich weiss, wo sollen wir hin!*⁵

4 Chodźcie ze mną! (niem.).

5 No chodźcie! Wiem, dokąd iść! (niem.).

Mojsze, najmłodszy z całej trójki, już w sieni dygotał i pociągał nosem. Pobiegł za Willym, nie zadając pytań, tupot jego butów niósł się w noc jak dźwięk gongu. Gdzieś z lewej strony, za zasiekami z kolczastego drutu wszczął się ruch, potem coś kilka razy zabrzączało cicho nad ich głowami. Dopiero wtedy dogonił ich Leon. Wszyscy trzej, niemal bez tchu, skręcili w Targową. Chcieli się przekraść na plac Zgody, ale już z daleka dostrzegli migotanie żarzących się papierosów. Miejsce, z którego zawsze wywożono przeznaczonych na deportację, zostało obstawione.

Chłopcy zatrzymali się w przerażeniu. Dobięły ich ledwo słyszalne słowa wypowiedane po niemiecku. Na szczęście Willy znał inną drogę, przez podwórka.

Brama nowoczesnej kamienicy na Wita Stwosza, gdzie mieszkał jego przyjaciel, była otwarta, ale w mieszkaniu pod samym dachem nikt nie odpowiadał. Z początku stukali delikatnie, potem coraz natarczywiej. Wreszcie Wilhelm załomotał pięścią.

– Nikogo nie ma w domu – odezwał się Leon w języku, którego Willy uczył się już od czterech lat, ale z marnym skutkiem. Sens zdania jednak doskonale zrozumiał.

Osunął się na ziemię i ukrył twarz w dłoniach. Ogarnęła go rozpacz. Nie miał innego planu!

– Poczekajcie...

Podniósł głowę i zobaczył, jak Mojsze wyjmuje z kieszeni kawałek drutu i zaczyna nim majstrować w zamku. Rozległo się ciche kliknięcie. Mieszkanie stało przed nimi otworem.



Nocne godziny spędzane na schodach wiodących do piwnicy dłużyły się niemiłosiernie. Jeszcze przed świtem z ulicy rozległy się okrzyki wzywające wszystkich pracujących na zbiórkę przed siedzibą Judenratu⁶. Ludzie zaczęli wychodzić z mieszkań i gromadzić się na Węgierskiej, gdzie miały być sprawdzane dokumenty zatrudnionych w placówkach poza gettem. Już po chwili kolejka zakręcała daleko w Józefińską.

Aron z Henkiem, zdrętwiali z zimna i strachu, stanęli w tłumie pod transparentem z napisem *Bauleitung*⁷. Po chodnikach z obu stron przechadzali się esesmani z bronią. Od czasu do czasu któryś z nich na postrach strzelał w powietrze, a przerażeni ludzie zbijali się gęściej na pokrytej błotem ulicy. Nic się nie działo, nawet słońce chowało się za warstwą chmur, jakby nie chciało na to wszystko patrzeć.

Wreszcie przy bramie na Limanowskiego zaczęła się selekcja. Chłopcy mieli papiery, które jeszcze w czerwcu ratowały życie, posuwali się więc spokojnie do przodu, póki przez szereg ustawionych w szesnastki ludzi nie przebiegł zduszony szept:

– Nie patrz na *blauszajny*⁸! Biorą, kogo chcą!

6 Powołany przez władze okupacyjne organ samorządu żydowskiego (Gminy), który był odpowiedzialny za wykonanie niemieckich rozkazów.

7 *Bauleitung* (niem.) – zarząd budowy.

8 *Blauschein* (niem.) – zaświadczenie w kolorze niebieskim, które władze niemieckie wystawiały osobom posiadającym legalną pracę. W czasie czerwcowego wysiedlenia tylko ono dawało prawo do pozostania w getcie.

Wkrótce miało się okazać, że to prawda. Nie pomagały nawet interwencje pracodawców, w tym tak potężnych jak dowódca Wehrmachtu⁹. Kilkanaście metrów dalej, po drugiej stronie bramy oddzielającej dzielnicę żydowską od aryjskiej, kręcili się nerwowo przedstawiciele zakładów. Nie potrafili wydostać się z łap SS i gestapo robotników, mimo że ci byli im niezbędni do wykonania narzuconych norm.

Wśród zgromadzonych Żydów narastała fala paniki. Selekcja przeprowadzana była brutalnie. Nie miało żadnego znaczenia, czy i gdzie jest się zatrudnionym. O wszystkim decydowała wola kilku mężczyzn w czarnych mundurach, którzy machnięciem ręki w prawo lub lewo przesądzali o czyimś życiu lub śmierci. Niektórych kierowano za bramę, innych wpychano na podwórko sąsiedniej posesji. Dopiero gdy grupa szczęśliwców z ulicy Limanowskiego została załadowana na ciężarówkę swoich pracodawców, a nie do policyjnych bud, można było określić, jaki komu przypadł los.

Henek był mokry od potu, zanim jeszcze dotarł w okolice bramy. Gdzieś w tłumie zgubił Arona. Popychany z wielu stron stanął nagle twarzą w twarz z człowiekiem w zniechęconej czapce z trupa czaszką. Zanim spuścił głowę, zdążył jeszcze dostrzec zimne, uważne spojrzenie jasnych oczu.

– *Raus!*¹⁰ – Dobiegł go gardłowy rozkaz, a potem ktoś uderzeniem w plecy wypchnął go za bramę.

⁹ Według informacji podanej 18 czerwca 1942 r. przez dowódcę SS i policji J. Schnerera, Wehrmacht, instytucje zbrojeniowe oraz urzędy i firmy niemieckie w Krakowie zatrudniały 11 tys. Żydów.

¹⁰ Wychodź! (niem.).

Przez zalane łzami oczy nie widział, co się wokół dzieje. Nie mógł sobie potem przypomnieć, w jaki sposób znalazł się na wozie *Bauleitungu*, nie pamiętał, którymi ulicami wieziono ich do pracy. Gdy wysiedli i zaczęli ustawiać się w dwusze-reg, ktoś ze szlochem objął go za szyję. Dopiero wtedy Henek oprzytomniał. Tuż obok stał jego przyjaciel.



Z ulicy dobiegały gardłowe pokrzykiwania i warkot silników, potem narastający zgiełk i pojedyncze strzały. Wreszcie nastąpiła pozorna, myląca cisza. Choć ścierpnięci, tkwili jednak w swojej kryjówce na strychu, wiedząc, że za żadne skarby nie wolno im wyjść.

Na zewnątrz tymczasem rozpogodziło się i pojaśniało. Dzień miał być wyjątkowo ciepły. Około południa od strony Józefińskiej wszczął się ruch.

– Wysiedlają dom sierot! – Ochryply ze zgrozy kobiecy głos umilkł, przecięty serią karabinu. Zaraz potem z większej odległości dopłynął do nich rozdzierający płacz i krzyki dzieci.

Julek poczuł, że brakuje mu tchu.

– Szlomo, nie! – szepnął Baruch.

Ale Szlomo nie wytrzymał. Wsunął się zza desek i dopadł małego okienka. Ponad łysymi koronami drzew porastających skwerek patrzył w głąb dobrze znanej mu ulicy. Widział konne platformy stojące przed zakładem i widział, jak niemieccy żołnierze ładują na nie kosze z malutkimi dziećmi. Niektóre wyrzucano do koszy wprost przez okno.

Większe, które umiały już chodzić, wyprowadzono pod broń na chodnik przed domem. Widział może pięcioletnią dziewczynkę, która rzuciła się do ucieczki środkiem ulicy... Biegła ku figurze Matki Boskiej, która patrząc na to wszystko z góry, bezradnie rozkładała ręce.

– Szlomo, wracaj!

Jednak Szlomie nogi odmówiły posłuszeństwa. Zaciśnął powieki, czas na chwilę przestał płynąć. Na twarzy czuł ciepło słonecznych promieni. Huknął kolejny strzał, ale on nawet nie drgnął. Ocuściły go dopiero niemieckie wrzaski i tupot podkutych butów bardzo blisko, na podwórku i na klatce schodowej. Otworzył oczy, zobaczył na skwerku żandarma celującego w jego stronę. Cofnął głowę i skoczył ku wejściu do kryjówki. Ale już było za późno.

– *Alle raus!*¹¹ – rozległ się przeraźliwy wrzask. Na strych wpadli esesmani z karabinami.

Szlomo stał tuż obok skrytki. Przez szparę między deskami widział rozszerzone przerażeniem oczy Julka. Delikatnie pokręcił głową, a potem podniósł ręce i wysunął się zza zasłony starych gratów.

Julek jęknął głucho. W tej samej chwili palce Barucha wpiły się w jego ramię, powstrzymując przed wykonaniem jakiegokolwiek ruchu.

Z drugiego końca strychu wyłoniła się rodzina – dwoje starsuszków i młoda kobieta z tobołkiem, w którym spało odurzone luminalem niemowlę. Popychani lufami karabinów razem ze Szłomą ruszyli do wyjścia. Nie mogli

11 Wszyscy wychodzić (niem.).

już zobaczyć, jak dwóch esesmanów zatrzymuje się pod kalenicą, ustawia plecami ku sobie i długimi seriami po- ciąga wokół. Drewniane drzazgi i kurz zaczęły wirować w słonecznym blasku, który wlewał się strumieniami przez małe okienka. Przez chwilę nic nie było widać. Dopiero gdy wszystko opadło pomiędzy łuski nabożów, spod desek dachu zaczęły wyciekać strużki krwi.



Mieszkanie na poddaszu było niewielkie, lecz urządzone wygodnie i ze smakiem. Jego właściciel, Żyd z Wiednia, wielokrotnie opuszczał getto i prawdopodobnie teraz, uprze- dzony o akcji, postanowił ją przeczekać po aryjskiej stronie. Willy poznał się z nim i zaprzyjaźnił, gdyż obaj prawie nie znali polskiego i bardzo słabo posługiwali się żydowskim. Połączył ich język niemiecki oraz zamiłowanie do poezji. Alex – tak miał na imię jego dorosły przyjaciel – miał wiele książek i czasem mu którąś pożyczał, korzystał też z drobnych usług Willy’ego przy prowadzeniu domu i płacił za nie szczodłą ręką. Zwykle był łagodny i uśmiechnięty, więc chłopiec miał nadzieję, że nie będzie się złościł z po- wodu włamania. Zwłaszcza że Leon i Mojsze nie mogli się powstrzymać i uraczyli się chlebem z kiełbasą, które znaleźli w kuchennym kredensie.

Noc spędzili we trzech na twardych deskach pod łóżkiem. Poranek przebiegł spokojnie, jeśli nie liczyć dobiegających z daleka krzyków i strzałów. Dopiero około południa na ulicy rozległo się wołanie.

– *Alle Juden müssen raus! Krakau soll judenfrei werden! Jeder, der hier bleibt, wird auf der Stelle erschossen!*¹² – Wielokrotnie powtarzany przez megafon komunikat wbijał się w ich świadomość jak ostrze noża.

Wkrótce to samo powtórzyli odemani przebiegający ulice i korytarze, dobijający się do mieszkań z nakazem ich opuszczenia. Wszyscy Żydzi, spakowani, mieli się udać na plac Zgody.

– *Wir müssen los!*¹³ – powiedział Willy, a Leon i Mojsze bez sprzeciwu wyleźli spod łóżka. Dalsze ukrywanie się nie miało już sensu.

W drodze na plac Zgody było już wiele osób niosących mniejsze i większe bagaże. Niemcy, uzbrojeni w karabiny, pejsy, a nawet pogrzebacze, obstawili ulice. Chłopcy zatrzymali się, a wtedy ruszył w ich stronę postawny żołnierz o bardzo jasnej, piegowatej cerze i rudych kosmykach przyklejonych do spoconego czoła. Wpatrywał się w Willy’ego, a na jego twarzy malowała się jakaś dziwna determinacja. Chłopak poczuł na plecach lodowaty dreszcz.

– Patrzcie! Tam są nasi! – krzyknął nagle Leon i pociągnął ich za sobą w gęstniejący tłum. W ostatniej chwili, bo Niemiec był już prawie przy nich.

Dzieci z sierocińca, jak również dziewczęta z bursy, które nie zgodziły się nocą na ucieczkę, skupiły się w jednym miejscu wokół dyrektorki i wychowawców. Leon i Mojsze bez zastanowienia ruszyli w tamtą stronę, przepychając się

12 Wszyscy Żydzi muszą się wyprowadzić! Kraków ma być wolny od Żydów! Każdy, kto tu zostanie, będzie rozstrzelany na miejscu! (niem.).

13 Musimy iść! (niem.).

przez grupy wysiedleńców, siedzących na bagażach i wprost na ziemi. Willy, choć z początku szedł z nimi, nagle zawałał się i zatrzymał. Nie rozumiał zbyt dobrze, co szeptali zgromadzeni wokół ludzie, ale straszliwe przecucie ścisnęło go za serce. Na twarzach opiekunów też wypisana była zgroza, której na razie nie pojmował. Gdzie się podziały najmłodsze dzieci?! Czemu żadne ze starszych nie płakało i nie marudziło, jak to dotychczas miały w zwyczaju?! Nagle zrozumiał, dlaczego Alex zniknął z mieszkania. To nie miało być zwykłe wysiedlenie i ten mądry wiedeński Żyd doskonale o tym wiedział...

Upadł na kolana, bo nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Na wpół klęcząc, na wpół pełznąc, zaczął się przeciskać z powrotem ku obrzeżom placu. Postanowił wykorzystać jakąkolwiek okazję i umknąć, a potem – jak jego starszy przyjaciel – zaszyć się gdzieś i przeczekać. Słońce, które teraz świeciło z pełną mocą, raziło go w oczy, więc zmrużył powieki i pilnie wypatrywał miejsca, w którym nie będzie widać nóg w wysokich żołnierskich butach. Wkoło wiele się działo, ale on nie zwracał na nic uwagi, pochłonięty swoim planem ucieczki.

– *Du, Junge! Du, da!*¹⁴ – Usłyszał nagle z bardzo bliska. Podniósł głowę i z przerażeniem stwierdził, że macha na niego ten sam piegowaty żołnierz, który wcześniej z takim napięciem się mu przyglądał.

Wilhelm poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Było coś niesamowitego w tym człowieku, coś, co budziło lęk. Zaprzagnął znowu znaleźć się w jednej grupie ze swoimi

¹⁴ Ty, chłopcze! Ty tam! (niem.).

kolegami, z Anną Feuerstein* i Dawidem Kurzmannem*. Choć nie mogli ocalić go od śmierci, w jakiś sposób jednak gwarantowali mu bezpieczeństwo... Na czworakach ruszył z powrotem.

– *Warte!*¹⁵

Depcząc po ludziach i ich bagażu, Niemiec przedarł się przez cizbę oczekujących na deportację. Dopadł go, chwycił za kołnierz i zaczął wlec w kierunku skrzyżowania ulic Targowej i Solnej. Chłopiec z całych sił stawiał opór, ale oprawca z wielką siłą podniósł go i uderzył w twarz. W jego spojrzeniu była czysta wściekłość. Willy poczuł, że nie ma szans. Opanowała go rozpacz i już bez walki dał się wyprowadzić z tłumu.

Zatrzymali się dopiero za załomem muru, w miejscu, w którym nie byli już widoczni. Żołnierz puścił go, a potem wyjął pistolet i strzelił w powietrze tak szybko, że Willy nie zdążył nawet zamknąć oczu.

– *Verschwinde! Aber sofort!*¹⁶

Willy'emu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

~

Henek nie pamiętał, co robili tego dnia – czy było to kopanie rowów, tłuczenie kamieni, układanie betonowych płyt czy krawężników. Pracował, to pewne, bo na rękach otworzyły mu się stare rany, a obok nich pojawiły się nowe otarcia i pęcherze. Słońce świeciło aż do wieczora, wyłaczając otaczający

* Biogramy osób oznaczonych gwiazdką znajdują się na końcu książki.

15 Czekaj! (niem.).

16 Zmykaj! Ale już! (niem.).

ich świat, tak piękny i tak obojętny. Czy można jednak mieć pretensje do słońca, że za nic miało ich nędzę i żalobę, ściśnięte bólem serca i myśli kołaczące po głowie jak schwywane w sidła ptaki:

„Co się dzieje w dzielnicy? Co się stało z innymi? Czy żyją?”

Jeszcze tego samego dnia mieli dostać odpowiedź.

Gdy po wielu godzinach pracy w zapadającym powoli zmierzchu wracali do getta, zostali zatrzymani na rogu ulicy Dąbrowskiego, by przepuścić długi pochód ludzi, zmierzających przez Lwowską i Limanowskiego w stronę dworca w Płaszowie. Henek i Aron, stojący w jednym z pierwszych szeregów, widzieli ich doskonale od chwili, gdy zwartą grupą przekroczyli bramę w wyciętym na kształt macew¹⁷ murze: Dawida Kurzmanna, z długą siwą brodą i uduchowioną twarzą, ściskającego w obu rękach atlasowy tałas¹⁸, Annę Feuerstein, surową i poważną jak zawsze, a przecież tak ciepłą, emanującą macierzyńską troską, jej wesołego, zwykle uśmiechniętego męża Juliusza, którego pobladła i zastygła twarz przypominała teraz maskę, młodszych wychowawców, dziewczyny z bursy... i skupione wokół nich wszystkich dzieci. Prawie dwieście dzieci, w których oczach wyczytać można było pełną świadomość, że idą na śmierć.

Widzieli ich tylko przez krótką chwilę, którą całej grupie zajęło przebycie skrzyżowania, zanim zasłonił ich mur naróżnej kamienicy. Pochód ciągnął się jeszcze długo, w ostatnich

17 Macewa – pionowy kamień nagrobny, w tradycyjnej formie zakończony półkuliście.

18 Tałas – szal modlitewny.

krwawych blaskach zachodzącego słońca można było rozpoznać twarze znajomych, ale Henek nie mógł już dostrzec nikogo. Piekące łzy zamazały mu widok. Zrozumiał, że nie ma już żadnych bliskich ani domu.



Wszystko umilkło – strzały i krzyki, łomot podkutych butów, odgłos rąbania drzwi, warkot motorów i szczekanie psów. Straszne milczenie zawisło nad wykrwawioną dzielnicą. Zapadał zmrok, gdy Baruch i Julek opuścili kryjówkę na strychu. Ocaliło ich tylko to, że – młodzi i sprawni – wdrapali się niemal pod samą kalenicę. Nie mieli sił, by wyciągnąć ukryte ciągle poniżej, za przepierzeniem z desek, podziurawione niemieckimi kulami ciała. Wiedzieli, że na to przyjdzie pora.

Zeszli na półpiętro i Baruch nagle potknął się o coś. Byłby spadł, ale w ostatniej chwili chwycił się poręczy. Na schodach leżał Szlomo, między jego łopatkami czerniała dziura po kuli. Baruch pochylił się i odwrócił przyjaciela twarzą do góry. Szlomo wpatrywał się w niego nieruchomym, szklistym wzrokiem. Nie żył.

Julek poczuł, jak do gardła napływa mu gorzka, mdląca fala. Wychylił się za barierę schodów... i z jego ust wyrwał się straszliwy krzyk. Baruch natychmiast znalazł się przy nim. Dwa piętra poniżej, na kamiennej posadzce, zobaczył zwłoki staruszków, młodej kobiety i jej dziecka, których wraz ze Szłomą wyprowadzono ze strychu.

Uciekali, przeskakując po kilka stopni, pozostawiając za sobą ciała zamordowanych. Minęli szereg otwartych,

wyrąbanych drzwi i pustych mieszkań, z których nie dochodził żaden odgłos. Nie wiedzieli, gdzie biegną, nie mieli żadnego pomysłu. Wypadli na Józefińską i stanęli dopiero na zieleńcu, wciągając głęboko w płuca chłodne, przesiąknięte zapachem krwi powietrze. W dzielnicy powoli zaczął się ruch – robotnicy wracali po dniu pracy do getta. Z któregoś okna dobiegł ich rozdzierający jęk, gdzieś z oddali – kobiece zawodzenie. Ktoś szedł ulicą, rozpaczliwym głosem nawołując swoich bliskich. Obok domu OD stał młody chłopak, jego złota, wpadająca w rudy odcień czupryna świeciła w zapadającym zmierzchu jasną plamą. Dopiero gdy podeszli bliżej, rozpoznali w nim tego piegowatego Niemca, co nie znał żydowskiego i ledwie mówił po polsku. Patrzył w stronę pustego sierocińca i płakał.

Niedziela, 21 marca 1993

Przez owalne okienko zauważył postrzępione szczyty Tatr. Szybko zostały w tyle, ustępując miejsca łagodnym grzbiecom Beskidów. Dzień był bezchmurny, widoczność świetna. Przeczesawał oczami lasy – zielen świerków upstrzoną burymi liszajami w miejscach, gdzie rosły pozbawione ciągle liści dęby, brzozy i buki. Minęli lśniące jak rozlana plama rtęci Jezioro Orawskie, przelecieli nad Babią Górą, wreszcie ukazała się pod nimi ołowiana wstęga Wisły. Samolot obniżył wysokość, wyostrzyły się kontury. Obserwował brązowe pasy zaoranych pól i seledynowe smugi ozimin, wąskie nitki dróg z małymi punktami samochodów, szare

dachy domostw krytych eternitem, kominy i sączące się z nich strużki dymu.

Zrobiło się mu niedobrze.

„To już ostatni raz. Wykonam zadanie i nigdy tu nie wrócę!” – powiedział sobie w myślach.

Pilot nakazał zapiąć pasy. Maszyna gwałtownie traciła wysokość, podchodząc do lądowania. Mógł już z łatwością rozpoznać miejsca – kamieniołom w Zalasie, pasek autostrady, wieże kościoła w Morawicy...

Młodzi ludzie wokół śmiali się, flirtowali, dziewczyny piszczały przy każdym szarpnięciu samolotu.

„Czy oni nie wiedzą, gdzie jesteśmy? Nikt im nie powiedział?!” – zastanawiał się, oburzony takim zachowaniem.

Za chwilę mu przeszło. To nie była jego sprawa. Jechał z nimi w ściśle określonym celu, nie do niego należało prowadzenie pogadanek na historyczne tematy.

Rozejrzał się wokół. Oprócz młodzieży, grupy nauczycieli i ochroniarzy, na pokładzie było jeszcze kilka starszych osób podróżujących indywidualnie. Oni się nie śmiali.

„Ciekawe, co ich tu sprowadza? – myślał, odwracając znowu twarz do okna. – Interesy? Rodzina? Sentyment?”

Przypomniał sobie własną babcię, która opuściła ten kraj pół wieku temu, w najbardziej koszmarnych okolicznościach – i ciągle tak bardzo za nim tęskniła! Ilekroć wracał z misji, kazała sobie opowiadać, jak teraz wygląda Kraków, czy dalej tak dużo tam gołębi, czy nad Wisłą są jeszcze te piaszczyste plaże, a w Cichym Kąciuku rosną poziomki...

Nie potrafił tego zrozumieć. Ziemia, do której zbliżali się z prędkością stu sześćdziesięciu węzłów, była dla niego

niczym więcej, jak jedną wielką mogiłą! Każdy kilometr kwadratowy krył tu kości jego przodków. Każda piędź ziemi użyźniona została krwią i popiołami jego narodu. To, co się tu odbywało, w czym uczestniczył tak często, choć za każdym razem z innym zadaniem, było jak jakiś upiorny karnawał na cmentarzysku! Z coraz większym trudem przychodziło mu podporządkować się rozkazom, coraz większy opór budziły te wyjazdy.

„Ostatni raz!” – przyrzekł sobie, gdy wśród beztroskich okrzyków młodzieży samolot usiadł na pasie w Balicach.

A potem znowu stał się Cieniem – człowiekiem, który tak często zmieniał nazwiska i służył za wykonawcę cudzej woli, że z biegiem lat już niemal zapomniał, jak się naprawdę nazywa, co czuje i czego pragnie.

Kraków, wtorek, 23 marca 1993

Beniamin śpiewał. Wydawał z siebie niskie buczenie, przerywane od czasu do czasu wysokim kontrapunktem. Przypadkowa osoba mogłaby się zaniepokoić, ale domownicy wiedzieli – Benio był zadowolony. Leżał na plecach w głębokim wózku i wpatrywał się w zawieszone na gumce plastikowe zwierzątka w jaskrawych kolorach. A może nie? Może patrzył gdzieś dalej, w sobie tylko wiadomy punkt na kuchennym suficie? Maksymilian Petrycy pogładził synka pod brodą, ale nie zdołał tym gestem wyrwać go ze świata kontemplacji, w którym mały utknął. Chwilę temu skończyli serię ćwiczeń, masażu i ucisków. Były też całusy, łaskotanie i pieszczoty. Teraz synek czekał na obiad.

Woda zaczęła wreszcie bulgotać. Doktor skręcił gaz i ostrożnie włożył do garnka słoiczek z zupką, który chwilę wcześniej wyjął z lodówki. Spojrzał na zegarek – za kwadrans dwunasta. Szybkim krokiem przeszedł do dużego pokoju, otworzył szafę i wyciągnął garnitur. Produkując metaliczne zgrzyty, przerzucił rząd białych koszul na wieszakach, po czym skrzywił się boleśnie. Wszystkie pogniecione!

Dochodzące z kuchni murmurando przybrało na sile, a popiskiwanie zaczęło się powtarzać jakby częściej. Doktor truchtem wrócił do kuchni i parząc sobie palce, zamieszał w słoiczku. Spróbował przecieru – jak zwykle smaczny, choć niedosolony – po czym sięgnął po kuchenną ściereczkę. Wyćwiczonym ruchem wygarnął z wózka zaślinionego synka. Usadowił się z nim na krześle między stołem a lodówką, ułożył w najbardziej stabilnej pozycji, zabezpieczył jego kaftanik i swoje spodnie przed zaplamieniem i wreszcie nabrał zupy na łyżeczkę. Karcił go ostrożnie, bez pośpiechu, bo o zadławienie było łatwo. Dopiero od niedawna mały w miarę pewnie trzymał główkę w pionie – jedzenie na siedząco było dużym osiągnięciem.

Telefon zadzwonił, gdy w słoiczku pojawiło się dno. Ostatnia łyżeczka, wytarcie dzióbka, ścierka i synek na ramię, marszobieg do pokoju... Zdążył.

– Słuchaj, nie dam rady teraz się stąd wyrwać. Potrzebuję jeszcze godzinę! – Rozpoznał od razu, że żona jest bardzo zdenerwowana. – Możesz przesunąć to spotkanie?

Znowu zerknął na zegarek – dziesięć po. Nie wiadomo kiedy minęło dwadzieścia pięć minut! Ale może jeszcze się uda.

– Spróbuję. Nie martw się, poradzę sobie!

Przysiadł na skraju wersalki i jedną ręką podtrzymując Benia, drugą wertował książkę telefoniczną. Chwilę mu zajęło, nim znalazł numer otwartego niedawno pensjonatu na rogu Krakowskiej i Józefa.

– Przykro mi, obaj panowie wyszli chwilę temu – poinformowała go recepcjonistka zmartwionym głosem.

Nim zdążył odpowiedzieć, Beniamin, stękający dotąd w okolicach jego szyi, spiął się cały i beknął rozgłośnie, a doktor poczuł, jak coś ciepłego i gęstego spływa mu powoli po karku za koszulę.

– Dziękuję – pożegnał się i odłożył słuchawkę.

Czas upływał, sytuacja komplikowała się coraz bardziej, a trzeba było jeszcze uprasować koszulę. Pani Monika, od lat pomagająca Petrycym w pracach domowych, miała przyjść dopiero w przyszłym tygodniu, był więc teraz zdany tylko na siebie. Ale przynajmniej jedno się udało – mały pozbył się nadmiaru powietrza i po umyciu bródki został na powrót ułożony w wózku. Na pewno za chwilę smacznie zaśnie.

Doktor ściągnął przez głowę zabrudzoną część garderoby i otarł szyję wilgotną ściereczką. W jego głowie już się rodził plan.



Maria Petrycy z westchnieniem wróciła do gabinetu. Mężowskie „poradzę sobie!” było krzepiące, ale niepokój o to, co się dzieje w domu, mimo wszystko pozostał. Nie miała jednak wyboru.

– Słucham pana – powiedziała do Xaviera Jackowskiego, zajmując miejsce za biurkiem.

Gdy pracowała w Biurze Projektów Budownictwa Przemysłowego, w którym on był wicedyrektorem, układ był odwrotny. Siedzący naprzeciwko mężczyzna też być może o tym pomyślał, bo uśmiechnął się szeroko. Rozparty w swobodnej pozie, z nogą założoną na nogę, wystawiał na środek pokoju wypolerowane półbuty, a na kolanie trzymał gruby skoroszyt.

– Nie zajmę pani wiele czasu – oświadczył. Nachylił się i władcym gestem, z głośnym plaśnięciem, położył skoroszyt przed nią na biurku. – Za miesiąc, mniej więcej, ruszamy z przebudową. Proszę się z tym zapoznać.

Nie od razu udało się jej zapanować nad wyrazem twarzy.

– Przebudową? – odchrząknęła, biorąc do ręki opracowanie.

– Wszystko zgodnie z ustaleniami. Tu jest projekt i kosztorys. Oczekujemy, że wywiążecie się ze swoich zobowiązań.

– Myślałam, że decyzje dotyczące remontu będą podejmowane wspólnie. Zaskoczył mnie pan.

– Zleciliśmy wykonanie tej kalkulacji, żeby przyspieszyć sprawę. Naszym inwestorom zależy na czasie, chyba to pani rozumie.

Nie był w stanie powściągnąć triumfalnego grymasu. Maria poczuła zimną furię. Zaciśnęła ręce na teczce, wbijając paznokcie w miękką tekturę. Podniosła się z miejsca.

– Oczywiście – rzuciła obojętnym tonem. – Wywiążemy się z umowy.

Xavier Jackowski nie zamierzał jeszcze kończyć rozmowy.

– Mercier Projects Industriels nie zamierza na tym oszczędzać. To będzie nasze główne przedstawicielstwo w Polsce.

Sam Bonnenfant przyjeżdża w przyszłym tygodniu, żeby się na miejscu zapoznać z planami.

– Świetnie! – Przyciskając skoroszyt do piersi, drugą ręką wskazała mu drogę do drzwi. Młody człowiek podniósł się z ociąganiem.

– Mam nadzieję, że staniecie na wysokości zadania – próbował jeszcze podtrzymać rozmowę. – Przynajmniej z zewnątrz wasz budynek musi odpowiadać francuskim standardom.

– Mamy tego świadomość – ucięła krótko, a potem niemal wypchnęła go z gabinetu. Zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Nie musiała nawet zaglądać do środka, by wiedzieć, że na żaden remont jej firmy nie będzie teraz stać.

Prywatyzacja zakładu, w którym Maria Petrycy przepracowała większość swego zawodowego życia, kilka miesięcy temu stała się faktem. Proces przekształceń własnościowych – w pierwszej połowie minionego roku wstrzymany na szczeblu rządowym – jesienią został wznowiony i doprowadzony do szczęśliwego finału. Od początku stycznia w miejsce dawnego Biura Projektów Budownictwa Przemysłowego w Krakowie powołane zostały do życia dwie nowe firmy: polsko-francuska spółka Mercier Projects Industriels Pologne oraz spółka pracownicza, której po przeprowadzeniu głosowania wśród załogi nadano dźwięczną i wiele mówiącą nazwę „OdNOWA”.

Francuzi przejęli wszystkich architektów zlikwidowanego biura, a także niewielką część personelu administracyjnego. Jako że była to prywatyzacja kapitałowa, na której skorzystał Skarb Państwa, mieli prawo zająć reprezentacyjny budynek frontowy wraz z wyposażeniem. Spółka pracownicza

otrzymała w leasing oficynę – okazałą, lecz wymagającą pilnego remontu. Miała ją spłacać przez najbliższe trzydzieści lat. Działała tam duża stołówka z kuchnią, mieścił się dział administracyjno-techniczny, a także – od niedawna – gabinety radców prawnych i księgowych.

Nieruchomość została fizycznie podzielona, a łącząca oba budynki przeziątka miała pójść do rozbiórki. W wyniku nacisków zagranicznego kontrahenta w kontrakcie znalazł się zapis, że prace renowacyjne będą wykonane w obu częściach jednocześnie przy proporcjonalnym wkładzie finansowym nowych właścicieli.

– Nie możemy zostawić sobie na tyłach takiego potworka – oświadczył Xavier Jackowski, który był jednym z negocjatorów tej umowy. – Co by nasi klienci sobie o nas pomyśleli?

Po wielu konsultacjach Maria Petrycy i jej współpracowniczka zdecydowały w imieniu załogi, by ten warunek zaakceptować. Były dobrej myśli – „OdNOWA” wynajmowała zewnętrznym firmom kilka pokoi na piętrze, oferowała usługi prawne i księgowe, a także ekipę do sprzątania biur. Nadzieje budziła stołówka, która otworzyła się i już zaczęła być popularna wśród studentów AGH. Uznały, że ryzyko jest niewielkie, a kiedy interes się rozkręci, spółka będzie w stanie sama sfinansować to przedsięwzięcie. Żadna z nich jednak nie przypuszczała, że Francuzi będą chcieli remont generalny przeprowadzić niemal od razu!

„Chcą nas wykończyć! – pomyślała Marysia. – Ale to się im nie uda!”

Odetchnęła głęboko i otworzyła drzwi do sekretariatu.

– Poproś do mnie Halinkę – poleciła. – To pilne.

Czuła bezsilną wściekłość na samo wspomnienie miny Jackowskiego. Mieli ze sobą na pieńku, od kiedy nieudolnie próbował ją przekupić i odwieść od pomysłu utworzenia spółki pracowniczej. Później wydawało się, że topór wojenny został zakopany. Każde z nich było gotowe na daleko posunięte ustępstwa, byle tylko doprowadzić do prywatyzacji. Teraz dopiero wyszło na jaw, że było to tylko przejściowe zawieszenie broni. Jackowski dobrze wiedział, że „OdNOWA” w tej chwili nie ma pieniędzy na inwestycje. Złośliwa uciecha, z jaką obserwował dzisiaj jej reakcję, kazała Marysi podejrzewać, że forsowanie tak szybkiego terminu rozpoczęcia prac nie jest dziełem przypadku.

Drzwi otworzyły się bez pukania i do gabinetu wkroczyła krągła postać na bardzo wysokich obcasach.

– Słyszałam, że był u ciebie nasz nieodżałowanej pamięci wicedyrektor – powiedziała na powitanie Halina Bruzda, główna księgowa dawnego biura i współpracowniczka w spisku. Dwa lata temu to właśnie ona, namówiona przez Marysię, napisała na serwetce w cukierni biznesplan przyszłej spółki.

– Niestety. Przejrzyj to, bo lepiej znasz się na liczbach – powiedziała Maria Petrycy, przesuając w jej stronę skoroszyt z planami. – Ale mam wrażenie, pani wiceprezes, że właśnie nadeszła pora, by zadzwonić do twojego taty.

~

Od kiedy kilka miesięcy temu Pelagia Redlich zdecydowała się wrócić na stałe do Polski, wciąż szukała dla siebie

mieszkania. Musiało to być coś na Zwierzyńcu, żeby mogła czasem wpadać do swojej siostrzenicy na herbatę. Oczywiście nie w bloku, tylko w starym budownictwie, bo tam przynajmniej człowiek ma czym oddychać. Najlepiej na pierwszym piętrze, a jeśli już wyżej, to koniecznie z windą. W takim stanie technicznym, żeby nie trzeba było robić za rok remontu. Najchętniej już po remoncie, i to generalnym. No i w odpowiednim standardzie! Żadne tam płytki PCV, tylko drewno, dąb albo buk. Im dłużej nad tym myślała, tym większe miała oczekiwania. I dziwiła się, że tak trudno jest w Krakowie znaleźć lokal, który by je wszystkie spełniał.

Jak każdego niemal ranka, rozłożyła na stole kilka gazet codziennych i z ołówkiem w rękę przeglądała ogłoszenia. Do tej pory nie trafiła jeszcze na nic, co by ją zainteresowało. Przerwała na chwilę i nalala sobie do szklanki wody mineralnej.

„Czy ja kompletnie zwariowałam, żeby w moim wieku nagle wszystko zmieniać?” – pomyślała.

Gdy sprzedawała stary fortepian po teściowej i pakowała do pudeł większość swoich osobistych rzeczy, nie zastanawiała się, czy dobrze robi. Dopiero tutaj, na miejscu, zaczęła mieć wątpliwości. Ten nieopisany brud na ulicach, ta szarość i zniszczenie, brak zieleni, tłok, chaos architektoniczny, zatrute powietrze... Nawet to, co płynęło z kranu, śmierdziało chlorem i nie dało się tego w żaden sposób pić, tylko trzeba było kupować wodę w baniakach.

A jednak chciała tu wrócić! Po śmierci męża czuła się bardzo samotna. Dawni sąsiedzi poumierali lub wynieśli się do domów spokojnej starości, a nowi, obcy, tylko działali jej na nerwy. Zupełnie nic jej już z Londynem nie łączyło.

Podjęła więc decyzję i teraz w głębi ducha wiedziała, że za późno już na wahanie. Klamka zapadła. Dom w Ruislip był właściwie sprzedany – podpisała umowę przedwstępną i pobrała zaliczkę. Agent informował ją też ostatnio, że gmina negocjuje kupno jej fotograficznego archiwum, które miałyby zasilić miejscową izbę pamiątek. Wyglądało na to, że pieniędzy wystarczy jej nawet na kilka mieszkań. Tymczasem już od tyłu tygodni siedziała kątem u krewnych i nie mogła znaleźć nic odpowiedniego.

Ogarnęła ją chandra, poczucie niemocy i lęku. W nocy źle spała, dręczyły ją koszmary. Teraz czuła się stara i opuszczona, a nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby jej pomóc. Dopiła wodę i wstała, stękając boleśnie. Oj, nie miało się już tych dwudziestu lat! Przeszła do łazienki, stanęła przy umywalce i popatrzyła w oczy kobiecie po drugiej stronie lustra.

„Czy to naprawdę ja? Boże, kiedy do tego doszło?”

Przeczesała palcami dość gęste jeszcze kosmyki, które były niemal całkiem białe. Kąciki ust jej drgnęły, a oko błysnęło.

Od lat miała sprawdzony sposób na smutki. Przekonana, że to, co ma na głowie, może też wpływać na to, co się jej kłębi w środku, w chwilach przygnębienia farbowała sobie włosy na jakiś żywy, pastelowy odcień i od razu czuła się lepiej.

„Strasznie się ostatnio zaniedbałam! Muszę pójść wreszcie do fryzjera!” – podjęła decyzję i wyszła z łazienki już w dużo lepszym nastroju.

Tymczasem życie szykowało dla niej zupełnie inny sposób na wydobycie z dołka i przywrócenie pogody ducha. Wszystko zaś odbyło się tak szybko, że nawet nie zdążyła zaprotestować.

Ledwo zasiadła znowu do lektury ogłoszeń, rozległo się pukanie, a zaraz potem przez podwójne drzwi do salonu wjechał wózek popychany przez Maksymiliana. Staruszka zsunęła na czubek nosa okulary do czytania i zamarła w oczekiwaniu.

– Będzie spał godzinę, a może nawet i dwie – wyszeptał doktor. – Franio zaraz wraca ze szkoły, Marysia też powinna się niebawem pojawić. A ja naprawdę muszę już wyjść! Proszę, niech mi ciocia nie odmawia...

Nie odmówiła, tylko w osłupieniu patrzyła na wózek ze śpiącym Beniaminem. Doktor uciekł, a gdy wstała, zobaczyła przez okno, jak mknie ulicą w stronę centrum, a wiatr łopocze połamami jego płaszcz. Westchnęła i zajrzała do wózka.

– Śpij, biedne maleństwo!

Poprawiła okulary i wróciła do sterty gazet. Była wdzięczna Petrycym, że ją przygarnęli i nie musi się tułać po hotelach, miała jednak świadomość, że jest to dla nich męcząca sytuacja. Sama też była przyzwyczajona do niezależności, choć ostatnio coraz trudniej jej było nadążać za pędzącym światem.

Ach, gdyby przynajmniej miała Anię do pomocy! Ale cioteczna wnuczka, do której Pelagia tak bardzo się przywiązała podczas swojego ostatniego pobytu w Krakowie, w międzyczasie wyemigrowała do Teksasu, gdzie urodziła synka. A bynajmniej nie były to wszystkie zmiany, jakie zaszły w rodzinie Petrycych.

Pelagia znowu wstała i zajrzała do wózka. Beniamin miał twarz aniołka, szczególnie kiedy spał. W ogóle nie widać było po nim, że ma zespół Downa. Ślinił się wprawdzie, ale

nie bardziej niż każde niemowlę. Dopiero uważny obserwator mógł dostrzec, że jego oczka są nieco skośne z powodu fałdu skórniego na powiece, a język z trudem mieści się w buźce. Ktoś obeznany z małymi dziećmi zastanowiłby się, dlaczego mający już siedem miesięcy chłopczyk nie potrafi jeszcze samodzielnie siedzieć. Zwróciłaby jego uwagę nadmierna wiotkość, brak koordynacji ruchów, fakt, że nie powiedział jeszcze nigdy „mama” ani „tata”. Ale ciotka Pelagia nie była specjalistą w rozwoju niemowląt. Nawet kiedy urodziła własną córeczkę, szybko oddała ją na wychowanie rodzicom oraz siostrze w pełnym przekonaniu, że zrobią to od niej lepiej. Sama zajęła się pracą zawodową – była fotografem w agencji „Światowid”, a jej zdjęcia ukazywały się w wielu gazetach należących do imperium „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. Choć pozostała samotna, potrafiła zapewnić godziwe utrzymanie sobie oraz małej Madzi, co w latach trzydziestych było osiągnięciem nie lada. Później, już w czasie wojny, zaangażowała się w działalność konspiracyjną, więc dziewczynka nadal pozostawała u dziadków. Gdy zachorowała na szkarlatynę i zmarła, Pelagia długo nie mogła tego darować sobie, rodzinie, a przede wszystkim Bogu. Na starość te uczucia trochę złagodniały, ale ciągle jeszcze ciotka szerokim łukiem omijała ludzi w sutannach i kościoły, a zdarzało się, choć coraz rzadziej, że budziła się w nocy, szlochając w poduszkę.

Nie mówiła tego głośno, lecz miała też własne gorzkie przemyślenia związane z Beniaminem.

– Nie rozumiem doprawdy, czemu ten świat jest tak beznadziejnie urządzony – mruknęła teraz, pochylona nad

wózkiem, kręcąc głową z dezaprobatą. – Chyba gdzieś się nasz Stwórca pogubił albo po prostu ma to wszystko w nosie!

Drgnęła, bo chłopczyk poruszył się nagle, jakby ją usłyszał, lub – co gorsza! – zrozumiał.

– Śpij, śpij – szepnęła. Odruchowo wyciągnęła rękę i poprawiła mu kocyk, delikatnie dotykając miejsca, gdzie było małe serduszko. – Zbieraj siły! Jeszcze wiele się w życiu natrudzisz. Tacy jak ty nie mają łatwo, o nie...

A Benjamin powiercił się jeszcze trochę, stęknął i nagle, nie otwierając oczu, uśmiechnął się do niej przez sen.



Przez ostatnie miesiące Maksymilian Petrycy zastanawiał się niejednokrotnie, jak to możliwe, że po wszystkich trudnych doświadczeniach ubiegłego roku jego życie wróciło do normy. Nie tylko żył, ale cieszył się tym swoim życiem, chwilami cieszył się jak dziecko! Minęło zaledwie dziewięć miesięcy, a on był już w zupełnie innym miejscu, o lata świetlne oddalony od tego, co wówczas wydawało mu się sytuacją bez wyjścia.

Owszem, wiele spraw jeszcze wymagało naprawy, szczególnie w jego małżeństwie. Ale przynajmniej był na dobrej drodze!

„Może tak już jest, że trzeba dosięgnąć dna, żeby się odbić? – myślał, kolebiąc się w tramwaju, który majestatycznie skręcał z ulicy św. Gertrudy w Starowiślną. – Może dopiero wtedy człowiek zaczyna doceniać małe rzeczy?”

Najważniejsze było to, że Beniamin urodził się zdrowy. „Czysty Down”¹⁹ – jakkolwiek brutalnie ta diagnoza mogła zabrznieć w uszach osoby z zewnątrz, dla doktora Petrycego i jego żony oznaczała błogosławieństwo, prawdziwy dar od Boga. Tylko dzięki temu był możliwy powrót Marysi do pracy akurat w chwili, gdy ruszył na nowo proces prywatyzacji jej biura. Oczywiście dziecko wymagało rehabilitacji i wzmożonej troski, ale dzięki połączeniu wysiłków obojga małżonków oraz pomocy tak wspaniałych przyjaciół jak Janka Rosa, udawało się to wszystko jakoś godzić.

Nie za darmo, rzecz jasna. Doktor musiał zrezygnować z wielu osobistych ambicji, jednak po przejściu zawału tak czy owak nie miał wyboru. Zwolnienie tempa, zdrowy tryb życia, jak najmniej stresu – usłyszał zalecenia lekarzy, gdy już udało im się ustabilizować pracę jego serca. Przy chorym dziecku i sytuacji małżeńskiej balansującej na granicy rozwodu było to możliwe tylko za cenę porzucenia części dotychczasowych zajęć.

Przed wszystkim postanowił zmienić pracę. Krótko przed atakiem serca został przez bezpośredniego przełożonego zawieszony w obowiązkach służbowych. Po powrocie z urlopu ordynator cofnął wprawdzie tę sankcję, ale jeszcze leżąc w szpitalu w Mszanie, doktor zdecydował, że do kliniki już nie wróci. Otrzymał propozycję dobrze płatnych godzin w prywatnej przychodni, a potem także w innym miejscu. Kiedyś, w bliżej nieokreślonej przyszłości, chciał

19 Bardzo często dzieci z trisomią chromosomu 21 mają liczne i ciężkie schorzenia towarzyszące – wady serca, układu pokarmowego, wzroku i słuchu.

założyć specjalistyczny gabinet na parterze rodzinnego domu, na razie odsuwał to jednak w myślach na daleki plan. W tej chwili miał dużo ważniejsze sprawy na głowie.

Zrezygnował też z habilitacji – i od razu poczuł się lepiej. Nawet sobie nie uświadamiał jak bardzo, i to już od dawna, gnębiły go wyrzuty sumienia z powodu opóźnień w pracy naukowej. Nie znosił uczucia, że zaniedbuje obowiązki, a jednocześnie nigdy nie potrafił się zdobyć na to, by złamać rodzinną tradycję i porzucić karierę akademicką. Teraz wiedział, że w swoim stanie zdrowia i sytuacji rodzinnej nie będzie miał na to ani siły, ani czasu. Podobnie zresztą jak na pracę społeczną. Dlatego zaraz po odzyskaniu władzy w rękach, jeszcze przykuty do łóżka w mszańskiej lecznicy, napisał pismo do Rady Miasta Krakowa, w którym zrzekał się mandatu radnego. W ciągu zaledwie kilku dni jego rezygnacja została przyjęta.

Mimo chorego dziecka i nawału domowych obowiązków czuł się teraz wolny jak ptak – i cieszył się chwilą. Dzień był rześki, ale wędrujące po niebie chmury od czasu do czasu odsłaniały słońce. Jechał na spotkanie z Adamem Melcerem, swoim wujkiem z Izraela. W dzieciństwie starszy o kilka lat Adaś był dla małego Maksia niedościgłym wzorem i wymarzonym towarzyszem zabaw, potem jednak Dora, druga żona śp. dziadka Tadeusza Ptaszyńskiego, postanowiła wyemigrować z Polski. Kontakt urwał się na wiele lat, jeśli nie liczyć kartek, które rodzina Petrycych otrzymywała od nich na każde święta Bożego Narodzenia. Aż nagle latem ubiegłego roku Adam zapowiedział swój przyjazd i rzeczywiście pojawił się w Krakowie. Był to jednak moment dość

niefortunny. Właśnie urodził się Benjamin i doktor, sam nie w pełni sprawny, nie mógł poświęcić swojemu krewnemu tyle czasu i uwagi, ile by chciał. Dlatego bardzo się ucieszył na wiadomość, że Melcer przyjeżdża znowu, tym razem w towarzystwie przyjaciela, doktora socjologii na uniwersytecie w Hajfie, również urodzonego i wychowanego przed wojną w Krakowie.

Wysiadł z tramwaju przy Miodowej i po koślawych schodkach wszedł w obręb Szerokiej. Za chwilę ich zobaczył – dwóch eleganckich panów w czarnych kapeluszach stało pod murem cmentarza Remuh na prawo od głównego wejścia. Zwróceni byli do ściany, być może odmawiali kadisza²⁰. Stali na środku chodnika, ale nikomu to nie przeszkadzało – wybieżki i pojedynczy przechodnie poruszali się drugą stroną. Dopiero wczoraj, zwiedzając z nimi tę najstarszą krakowską synagogę i kirkut, Maksymilian usłyszał od przewodniczki, skąd się wziął taki zwyczaj wśród krakowian i nazwa „ściana płaczu”²¹.

Petrycy zatrzymał się przy skwerku i z oddalenia obserwował obu panów. Adam był młodszy o dziesięć lat, mocniej zbudowany i weselszy. Hersz Morgenstern, rocznik dwudziesty piąty, miał smutne spojrzenie i twarz pełną melancholii, choć w czasie rozmowy ożywiał się i potrafił być też bardzo dowcipny. Jego włosy były siwe, sylwetka pochylona, lekko

20 Kadisz – jedna z najważniejszych modlitw judaizmu, odmawiana także za zmarłych.

21 W latach pięćdziesiątych, gdy zaczęto porządkować cmentarz po wojennych zniszczeniach, wkomponowano fragmenty rozbitych macew w mur, który od tej pory jest traktowany jako miejsce modlitwy.

utykał na prawą nogę. Gościł w Krakowie już po raz trzeci i naprawdę dobrze znał miasto. To on uświadomił doktorowi, że zaniedbany skwer na środku ulicy Szerokiej, porośnięty drzewami i ogrodzony byle jakim płotkiem, był kiedyś najstarszym cmentarzem kazimierskich Żydów, po którym w tej chwili nie pozostał już żaden ślad.

Chwila zadumy minęła, Adam i jego przyjaciel odwrócili się i zauważyli Maksymiliana oczekującego w umówionym miejscu. Unieśli dłonie w geście powitania. Dzisiaj nie mieli w planie zwiedzania, tylko spotkanie z mieszkańcami Krakowa. Na zaproszenie Zakładu Historii i Kultury Żydów w Polsce, w auli szkoły przy ulicy Dietla Hersz Morgenstern miał wygłosić prelekcję o swoim ocaleniu z Holokaustu oraz o pielęgnowaniu pamięci w Izraelu. Doktor obiecał, że będzie obecny, zaprosił też na to spotkanie kilku swoich znajomych.

Przywitali się i ruszyli powoli w stronę Rynku. Morgenstern chciał się jeszcze przejść Plantami Dietlowskimi, zahaczyć o ulice Berka Joselewicza i Brzozową, z którymi łączyły go jakieś wspomnienia. Ledwo jednak wyszli na Starowiślną, przy jednej z kamienic Hersz zatrzymał się nagle i zapatrzył w okna na pierwszym piętrze.

– Znam dobrze to miejsce – powiedział, osłaniając oczy daskiem z dłoni, bo słońce właśnie wychyliło się zza chmury i zaświeciło z pełną mocą. – Mieszkała tu pewna odważna kobieta... Możemy wejść na chwilę do środka?

Uchylili ciężkie wrota i znaleźli się w mrocznej sieni. Witrazowe szybki na półpiętrze były tak zakurzone, że światło przenikało przez nie z największym trudem. Gdzieś z góry dochodziły odgłosy rąbania, jakby ktoś kuł ściany.

Na podwórku piętrzyła się bezkształtna góra starych mebli i innych gratów. Schody były brudne, farba olejna na ścianach odchodziła, a jej koloru nie sposób było już dociec. Wokół śmierdziało moczem. Maksymilianowi Petrycemu, polskiemu i krakowskiemu patriocie, zrobiło się przykro i wstyd.

Prowadzeni przez Hersza weszli na piętro i zatrzymali się przed świeżo odmalowanymi drzwiami z mosiężną wizytówką. Tutaj okno było uchylone, powietrze lżejsze, a podłoga wokół wycieraczki umyta.

– Czy to wypada? Nie będą mi mieli za złe, że tak bez zapowiedzi? – zastanawiał się stary Żyd, nagle stremowany.

– Niech pan dzwoni! – zachęcił go Petrycy.

Morgenstern wcisnął guzik dzwonka. Rozległ się charakterystyczny terkot, a potem odgłos kroków na skrzypiącej podłodze. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich tęga kobieta koło pięćdziesiątki.

– Panowie do kogo?

– Moi przyjaciele przyjechali z Izraela... – zaczął doktor i urwał zdumiony, bo twarz kobiety przybrała nagle groźny, odpychający wyraz.

– Taaak?! – zapytała z jakimś złowrogim zaśpiewem. – Przyjechali i już zaczynają sobie wybierać mieszkania? To panowie trafili pod zły adres!

Chciała zamknąć drzwi, ale doktor powstrzymał ją, zapierając się ręką o drewniane skrzydło.

– Chwileczkę! To jest dobry adres! Tutaj mieszkała pani, która mu w czasie wojny ocaliła życie!

Zdumiona zaczęła się jękać:

– Ocalała? Moja mama? Tu mieszkała w czasie wojny moja mama z babcią...

– A pani pewnie była wtedy tą małą dziewczynką, która mówiła na siebie Jujka – powiedział Morgenstern, uśmiechając się blado.

– Jujka... – powtórzyła, nadal w osłupieniu – Jujka Majelanka. Tak było, wszyscy się z tego do dziś śmieją. Nie potrafiłam wtedy jeszcze wymówić swojego imienia i nazwiska.

Doktor rozluźnił się, puścił drzwi i odruchowo zerknął na wizytówkę. Julia Malerak – ogłaszała wszem wobec, jak brzmi godność właścicielki.



– Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Jest mi tak okropnie przykro! – tłumaczyła się kwadrans później pani Julia, stawiając na białej serwecie talerz z pachnącym ciastem drożdżowym. Przez uchylone okna dobiegały odgłosy ulicznego zgiełku i wpadały pojedyncze słoneczne promienie. Byłoby całkiem przyjemnie, gdyby nie dochodzące nadal z góry odgłosy kucia, a także napięcie, które aż iskrzyło w powietrzu, od kiedy weszli do środka.

– Właściwie nic się nie stało – zaproponowali goście, jednak bez przekonania. To, czym zostali poczęstowani w progu mieszkania, zaprawiło gorczyczą wszystkie pyszności, jakie teraz podano im do stołu. Gospodyni też o tym wiedziała.

– Nie! – powiedziała poważnie, kręcąc głową, ciągle jeszcze czerwona aż po nasadę włosów. – Zachowałam się jak typowa antysemitka, a przecież nią nie jestem! Założyłam

od razu, że przyszliście do mnie w złych intencjach! Tymczasem... Boże, co za kompromitacja... – W jej oczach pojawiły się łzy. – To wszystko dlatego, że pojawili się ci nowi właściciele! Zwolnili dozorcę, wypowiedzieli umowę z administratorem... Sami widzicie, jaki syf na klatce schodowej! Nikt z nas nie jest pewny przyszłości, już jest mowa o podwyżce czynszów i eksmisjach! – Pokręciła głową, zakłopotana, speszona. – Ale to mnie nie usprawiedliwia. Tak mi przykro, że to powiedziałam.

– Nowi właściciele? – zainteresował się Hersz. – Właśnie z Izraela?

– Z tego, co wiem, to z Argentyny – odrzekła, bardzo szybko dochodząc do siebie. Pobladła, głos jej stwardniał, oczy się zwięzły. – Znalazł się spadkobierca przedwojennych właścicieli. Ale więcej panom nie powiem, bo nikt go tu nigdy na oczy nie widział! Reprezentuje go jakaś spółka, dysponują ponoć wszystkimi pełnomocnictwami i sąd przekazał im dwa miesiące temu zarząd nieruchomością. Od tego czasu mamy tu istną sodomę i gomorę!

Jej goście pokiwali głowami, Hersz jakby się nad czymś zamyślił. Doktor rozpaczliwie szukał jakiegokolwiek tematu rozmowy, który nie budziłby kontrowersji. Nie potrafił jednak nic wymyślić.

– Ta kamienica wymaga pilnego remontu. To widać gołym okiem. A od czego zaczynają nowi zarządcy? Każą nam opróżnić strychy i piwnice! – kontynuowała wzburzona pani Julia. – Każdemu, kto się nie wyrobił w terminie, wyrzucają rzeczy na podwórko! A przecież przez lata nazbierało się tego, przecież nie każdy ma możliwość, żeby to tak od razu gdzieś wywieźć...

– A jak się nazywa ten spadkobierca? – zapytał z uprzejmości Morgenstern.

– Blumowicz! – Kobieta aż zgrzytnęła zębami. – Znam nazwisko tylko dlatego, że znajoma sekretarka w sądach dostała mi je z akt! Do takich sposobów muszą się uciekać lokatorzy, bo przecież nie są stroną w sprawie i niczego się oficjalnie nie mogą dowiedzieć! Nawet założyliśmy stowarzyszenie, ale to nic nie dało. Nie mamy żadnej informacji, wszyscy odsyłają nas do spółki Fabex, a tamci nie chcą z nami rozmawiać.

Doktor drgnął, nagle zelektryzowany.

– Jak to Fabex?!

– Tak się nazywa ta firma, która tu weszła i zaczęła gospodarowanie od remontu strychu i piwnic. A tymczasem balkony się sypią, jeszcze chwila i jakiś odłamek spadnie komuś na łeb! Proszę, sami zobaczcie. – Zerwała się z miejsca, odsunęła firankę i energicznie otworzyła drzwi balkonowe. Zadarła głowę, wskazując spód betonowej płyty z drugiego piętra. – Proszę za mną, tylko może nie wszyscy naraz, bo się urwiemy...

Petrycemu spółka Fabex kojarzyła się tylko z jednym – tak właśnie nazywała się firma Karola Fabiańczyka, człowieka, który z niewiadomych przyczyn na początku stanu wojennego złożył na niego fałszywe doniesienie i sprawił, że doktor na jakiś czas wylądował w więzieniu. Maksymilian wiedział, że Fabex posiada hurtownię leków i środków farmaceutycznych, nie miał jednak dotąd pojęcia, że Fabiańczyk działa również na rynku nieruchomości.

– To ciekawe – powiedział teraz. – Znam właściciela spółki Fabex, która ma siedzibę na Beliny-Prażmowskiego.

– Tak! – odparła pani Julia z ożywieniem. – Właśnie tam! Naprawdę zna pan właściciela?

– O, to może za dużo powiedziane. Kilka razy w przeszłości nasze drogi się przecięły – mówiąc te słowa, Maksymilian poczuł przykry ucisk w gardle. Okoliczności tego „przecięcia się dróg” były dla niego nad wyraz bolesne.

Na gospodyni słowa te zrobiły jednak bardzo duże wrażenie.

– A czy nie mógłby nas pan jakoś z nim umówić? Nie chcę nadużywać uprzejmości, ale rozpacz mnie ogarnia! Ten człowiek jest dla nas nieuchwytny. O, proszę zobaczyć, czy to nie jest zagrożenie dla przechodniów?

Beton z balkonu drugiego piętra rzeczywiście kruszył się i opadał, odsłaniając miejscami zbrojenie.

– Trzeba poinformować o tym nadzór budowlany. Niech nakażą zarządcy natychmiastowe zabezpieczenie obiektu! – Duch społecznikowski, który ciągle jeszcze w nim nie wygasł, znów pchał Petrycego do działania. Z zadartą głową obejrzał zniszczenia, a potem przykucnął, by sprawdzić, na ile się da, czy balkon należący do mieszkania pani Malerak jest w podobnym stanie.

– Masz fajki? Daj jedną! – Usłyszał nagle znajomy głos.

Spojrzał na dół i zamarł, wypięty niezgrabnie w stronę pokoju. Chodnikiem poniżej szła jego rodzona córka w towarzystwie trzech innych dziewczyn, z których jedna częstowała ją papierosem!

– Ale oddasz! Bo to już druga w tym tygodniu...

– Oddam, oddam – zapewniła Gabrysia, mijając dokładnie w tej chwili własnego ojca, zastygłego w osłupieniu kilka

metrów ponad jej głową. – Czekam tylko na kieszonkowe, żeby sobie kupić paczkę...

Doktor w jednej chwili zapomniał o uszkodzonym balkonie, Fabiańczyku, problemach pani Julii, a nawet o swoich izraelskich gościach. Zerwał się na nogi, zrobił w tył zwrot i wpadł do pokoju, omal nie przewracając gospodyni.

– Przepraszam, muszę na momencik wyjść! – zawołał, po czym pognął do drzwi.

Gdy wydostał się na ulicę, dziewczyny wchodziły właśnie na przejście dla pieszych. Maksymilian pobiegł ich śladem, lecz przy krawężniku musiał się zatrzymać, gdyż z przystanku po drugiej stronie właśnie ruszył tramwaj. To, że jego córka pali i przeznaczą na zakup papierosów swoje kieszonkowe, było dla Petrycego takim samym szokiem, jak fakt, że wczesnym popołudniem spotkał ją na mieście. Liceum, do którego chodziła Gabrysia, pracowało w systemie dwuzmianowym i we wtorki dziewczyna miała o tej porze jeszcze lekcje. Doktor był tego całkowicie pewien. Z powodu zawiłego systemu opieki nad Beniaminem znał na pamięć grafiki swoich dzieci, by w razie nieprzewidzianych zdarzeń móc skorzystać z ich pomocy.

Tramwaj wreszcie przetoczył się przez skrzyżowanie, a za nim cała kolumna samochodów. Maksymilian przeszedł na drugą stronę i zrobił szybkie rozpoznanie na sąsiednich ulicach, wspinając się na palce, by lepiej widzieć ponad głowami przechodniów. Właśnie mijała go liczna wycieczka izraelskiej młodzieży, obstawiona z obu stron przez kilku umundurowanych ochroniarzy. Nieuważnie przesunął po nich wzrokiem, ale nagle coś go tknęło i spojrział znowu. Eskorta

była uzbrojona w broń automatyczną! Trzymali ją w sposób zwracający uwagę, wręcz szokujący na środku ruchliwej ulicy.

„Czy to możliwe?! – Ze zdumienia prawie wrósł w chodnik. – Tu u nas, w cywilizowanym, chrześcijańskim kraju?!”

Izraelczycy przeszli.

„Czyżby czuli się tutaj aż tak zagrożeni?!”

Petrycy długą chwilę nie mógł się otrząsnąć. W końcu jednak przypomniał sobie o córce. Rozejrzał się raz jeszcze i w połowie ulicy Dajwór namierzył ją wreszcie wraz z koleżankami. Dogonił je, gdy dochodziły do św. Wawrzyńca.

– No, moja panno! – zaczął głosem, który byłby groźny i potężny, gdyby nie zadyszka.

Dziewczęta odwróciły się i doktor z satysfakcją dostrzegł rozwarte z przerażenia oczy Gabrysi, która próbowała schować za plecami niedopałek papierosa.

– Tego się po tobie nie spodziewałem! – oświadczył, wyjmując jej z ręki dymiące *corpus delicti*, rzucając je na ziemię i rozdeptując.

– Gabryśka, co to za świr? Ty go znasz? – zapytała właścicielka fajek.

– Niech nas pan zostawi w spokoju! – wrzasnęła druga. – Bo pójdziemy na policję!

– Tu niedaleko, na Szerokiej, jest komisariat – podsunęła cicho trzecia, wydmuchując niedbale obłoczek dymu.

Doktor zmartwiał. Gabrysia spoglądała na niego pałającymi oczami. Wargi jej drżały i widać było, że z trudem powstrzymuje się od płaczu.

– Porozmawiamy później! – powiedział, starając się usilnie zapanować nad odruchem, który mu kazał od razu,

za ucho, zaprowadzić winowajczynię do domu. – A paniom bym radził nie pchać się na policję z papierosami w ustach. Chyba że macie już skończone osiemnaście lat!

Odwrócił się na pięcie, coś sobie jednak jeszcze przypomniał.

– A już zwłaszcza, jak jesteście na wagarach!

Buzował w nim tak straszny gniew, że z rozpędu minął bramę przy Starowiślnej i musiał się cofnąć. Dwaj goście z Izraela przenieśli się w międzyczasie z balkonu pani Julii na klatkę schodową, dołączyło do nich także kilku innych lokatorów. Trwała ożywiona dyskusja, w centrum której stał zblazowany trzydziestolatek we flanelowej koszuli i spranych dżinsach. Przysłuchując się chwilę z boku, doktor doszedł do wniosku, że musi to być przedstawiciel nowego zarządcy, wszyscy bowiem zarzucali go oskarżeniami, on zaś mową ciała i słowami dawał wyraz, jak mało go to obchodzi. Melcer i Morgenstern wydawali się, o dziwo, już całkowicie zintegrowani z grupą mieszkańców kamienicy.

– Musimy już iść. – Maksymilian próbował ich wyciągnąć po angielsku, ale czujna pani Julia od razu to zauważyła.

– No i sam pan widzi, jak oni się przejmują tym, co my mówimy! – parsknęła. – Niechże nam pan pomoże skontaktować się z szefem Fabexu, bo właśnie wyszło kilka nowych spraw, o które go musimy zapytać!

– Proszę sobie za dużo nie obiecywać, nie mam z nim najlepszych układów – mruknął doktor, grzebiąc po kieszeniach w poszukiwaniu wizytówek. Już żałował, że się ujawnił z tą znajomością. – Tu jest mój numer telefonu.

Ciągle jeszcze posługiwał się starymi kartami, gdyż nie znalazł czasu, by zamówić nowe. Przekreślony tytuł radnego od razu przykuł wzrok Julii Malerak.

– Pan Petrycy! No tak, wiedziałam, że skądś znam pana twarz! – wykrzyknęła z triumfem. – To wspaniale! Nawet pan nie wie, jak się cieszę, że mamy takiego sojusznika!

Doktor zaczął coś mętnie prostować, oferując swe pośrednictwo w rozmowach z nadzorem budowlanym, ale nie dała mu dojść do słowa.

– Nadzór nadzorem, ale gdyby mógł nas pan umówić z właścicielem Fabexu! Więcej nie chcemy, tylko to jedno spotkanie! On być może nawet nie ma pojęcia, co się tutaj wyrabia. Bardzo proszę, niech mi pan obieca!

Tak bardzo nalegała, że skołowany Petrycy, który ciągle jeszcze nie mógł ochłonąć po zajściu z córką i jej koleżankami, zgodził się tylko po to, żeby go zostawiła w spokoju.

Adam Melcer spojrział na zegarek i zorientował się, że czas zaczyna ich naglić. Szepnął do Hersza coś po hebrajsku, ujął go pod rękę i – ku uldze doktora – pociągnął wreszcie w stronę wyjścia.

– Będziemy zatem w kontakcie! – zawołała pani Julia, machając im na pożegnanie. Cała aż promieniała z radości. – Dziękuję! Dziękuję! Nie wiem, jak mam dziękować!

Musiała podnieść głos, bo za jej plecami kłótnia z reprezentantem Fabexu wybuchła znowu ze zdwojoną siłą.

Wiadomość, że francuski inwestor zamierza niebawem rozpocząć remont, była dla Marii Petrycy zaskoczeniem. Nieprzyjemnym, bo podejrzewała, że forsują tę inwestycję jej dawni szefowie, długoletni dyrektor Biura Projektów Budownictwa Przemysłowego i jego młody zastępca o francuskim imieniu. Obaj doskonale wiedzieli, że dla dawnych współpracowników udźwignięcie takich kosztów będzie ponad siły.

„Co za podłość! Jak oni mogą?” – myślała znowu ze złością, wychodząc z pracy i mijając frontowy budynek biura. Ciągle jeszcze z oficyną łączyła go przełączka, która jednak – mimo że architekci nadal jedli obiady w stołówce – była zamknięta na głucho.

Przez teren AGH przeszła na ulicę Reymonta i do parku Jordana, a stamtąd na Błonia. Szybki marsz pod wiatr spowodował, że jej emocje powoli opadły.

„Zresztą nie ma się czym aż tak przejmować – tłumaczyła sobie. – Bardzo się zdziwią, jak im utrzymy nosa!”

Od początku założyły z Halinką, że w razie finansowych kłopotów odwołają się do pomocy ojca głównej księgowej, który był producentem kierpców na Podhalu i jednym z głównych kontrahentów Cepelii. W czasie wstępnych rozmów starszy pan z szerokim gestem i jeszcze szerszym uśmiechem zgodził się na wejście do spółki i współfinansowanie projektów córki, o ile rzeczywiście będzie taka potrzeba. Dziś wieczorem Halinka miała do niego zadzwonić i powiedzieć, że kryzys nadszedł wcześniej, niż się ktokolwiek spodziewał.

„Będzie dobrze!” – powtarzała sobie Marysia, choć uczucie irracjonalnego niepokoju ciągle jej nie opuszczało. Dochodziła już jednak do alei Focha i musiała przestawić mózg na domowe tory.

Po powrocie z pracy zwykle zajmowała się Benjaminem. Przed południem Maksymilian gimnastykował go i robił uciski, po południu ona prowadziła bardziej subtelną rehabilitację – masaże twarzy i dłoni oraz zabawy wspomagające koncentrację. Tego dnia oprócz zwykłych zajęć czekało ją jeszcze dodatkowe wyzwanie – przygotowanie kolacji, na której miał być Adam Melcer oraz jego izraelski przyjaciel. Rozmowa z Xavierem Jackowskim, a potem z Halinką, dodatkowo zaburzyła i tak napięty już harmonogram.

„Benio będzie musiał poczekać do wieczora” – myślała, wyjmując klucze z torebki i otwierając bramkę.

W przedpokoju na lustrze zobaczyła naklejoną żółtą karteczkę z napisaną ręką męża informacją: „B. jest u P.”. Zmarszczyła brwi, bo pomysł pozostawienia niemowlaka pod opieką ciotki nie za bardzo się jej podobał. Ściągnęła buty, nerwowo zapukała w szybką pięknych drzwi i nie czekając na zaproszenie, weszła do salonu. Pelagii nie było w polu widzenia, za to na środku podłogi ujrzała rozłożony koc, na nim zaś Beniamina, który stękając głośno i, jak się jej zdawało, gniewnie, centymetr po centymetrze czołgał się naprzód. Zatrzymała się jak wryta.

– O, już jesteś? – Staruszka wyrzała z kuchni z łyżką w dłoni. Popatrzyła w tę samą stronę i uśmiechnęła się z triumfem. – Dobrze, mały, bardzo dobrze! Już ci niewiele zostało!